TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK ›GŁOSU NARODU‹

Rok III — Kraków, niedziela, dnia 10 lipca 1938 r. — Nr 28

Z pamiętników Ks. Sieniewicza

Powstanie r. 1863 na Podlasiu

Pewnego dnia zjawił się w mym domu młody człowiek inteligentny, w chłopskiej sukmanie, prosząc o opiekę. O utrzymanie jego wystarałem się w ten sposób, że nocował u moich parafian po kolei co nocy u innego, pożywienie miał u mnie. Tak przepędził w Sworach 10 miesięcy. Pod nazwiskiem Naumika otrzymał posadę masztalerza przy stadninie rządowej koło Janowa Podlaskiego. Tam zabawił przez rok, następnie był w Lublinie. Ponieważ groziło mu więzienie za sprawy polityczne, uszedł do Galicji i po latach zmarł we Lwowie, pozostawiając wdowę. Był to **Jaroszyński.**

W inną niedzielę, po nabożeństwie przyszło do mnie dwu wieśniaków. Jeden z nich był „bratczykiem" w Makarówce przy cerkwi. Ten właśnie wskazując na swego towarzysza, prosił, bym się przybyszem zaopiekował. Obcym tym był majtek czarnomorski, którego **Krasuski**, pisarz gminny, namówił, by się zgłosił do powstańców jako ochotnik. Brał on udział w bitwie pod Żyżynem, gdzie powstańcy zabrali Rosjanom kasę wojskową, ale potem otoczyli ich moskale pod Wojstawicami. Stoczono bitwę, w której brat mój Karol poległ. Wszyscy przywódcy uszli za granicę. Majtek pozostał w kraju. Poszukiwali go Kozacy nadaremnie. Dłużej ukrywać go nie można było we wsi, więc przyszedł do plebana. W Sworach był wójtem **Jan Chwalczuk**, w Makarówce Krasuski, o którym już wspomniano. Wójt w Sworach był przezorny. O paszport było nietrudno. Majtka przyjąłem na razie do służby jako parobka. Był małomówny, pracowity i trzeźwy. Pewnego dnia oświadczył mi Chwalczuk, że trzeba dezertera usunąć, bo, gdyby polecono mu aresztować go, spełniłby rozkaz, więc w razie potrzeby na znak koniecznej ucieczki przylepi opłatek na oknie w plebanii. Po odejściu wójta wybrałem się z majtkiem w drogę. Udałem się do Dollowa, ale mój teść nie przyjął „czarnomorca", otrzymał on natomiast pracę u jego dzierżawcy w okolicy. Powróciłem do domu sam. Poszukiwania za majtkiem były bezskuteczne. W powiecie gdzie mieszkałem, był naczelnikiem **Klemenko**, bardzo gorliwy w służbie. Wyśledził on, że dezerter był u mnie. Pewien gospodarz z Makarówki oświadczył straży, że dezertera ukrył proboszcz ze Swor, więc wzięli go ze sobą i z nim jeżdżono po różnych miejscowościach w tym celu, by im ułatwiał poszukiwania, ale to się nie udało również, bo ów dzierżawca przeniósł się w zamojskie, zabrawszy ze sobą dezertera. Od tego czasu majtek nie odwiedził mnie ani razu. Nauczyciel z Makarówki pełniący też funkcje diaka oznajmił, że dezerter miał wiele pieniędzy, które pod Żyżynem zdobyto; pedagog miał o tym uświadomić żandarmerię, ale zanim tego dokonał, żołnierz opuścił wieś wraz z pieniędzmi. Doniósł władzy tylko to, że dezerter był we wsi.

Przyjazd gubernatora **Gromeki** do Janowa udaremnił zakusy Klemenki. Ostatecznie dezerter ożenił się, ale nie wiem, gdzie przebywa.

Rewolucja jest to rzecz niebezpieczna dla wszystkich, nawet najspokojniejszych mieszkańców.

Wśród powstańców

Plebania moja — już stary budynek — z małymi oknami, które tak nisko były umieszczone, że każdy mógł sobie łatwo okno otworzyć, wejść niepostrzeżenie i w saloniku przespać się bezpiecznie na podłodze. Tak uczyniło 4 powstańców.

Prawdopodobnie wskutek denuncjacji pojawili się w Sworach Kozacy. Powstańcy uszli, gdyż ich w porę ostrzegłem. Wyszedłem w pole naprzeciw żołnierzy w szarej sukni jak do gospodarstwa. Naraz stanął przede mną oficer i zapytał, czy jestem proboszczem. Wszedł do domu i szukał powstańców wszędzie, gdzie się tylko dało, ale nie znalazł nikogo. Posłałem po wódkę do karczmy i potraktowałem żołnierzy, oficer wypił szklankę herbaty i „komedia skończona"...

Kryjących się po powstaniu indywiduów było bardzo wiele. Komendant roty piechoty rosyjskiej, będący podwładnym Nostica w czasie walki z Rogińskim, o czym już wspomniałem, pojawił się u mnie w domu, żądając pieniędzy z „kasy narodowej", gdyż wyjeżdża za granicę. Zdziwiony takim atakiem, zapytałem: „Kto to powiedział, że mam kasę narodową, kto to był?" Odpowiedź brzmiała: „Szczawiński". Z tego oświadczenia wynikało, że eksoficer ten wiedział coś o sprawie, ale niedokładnie. Szczawińskiego nie było już, bo zesłano go na Sybir. W rzeczywistości było tak: Szczawiński posłał pieniądze do Osówka. Pani Mleczkowa przywiozła pakiety dla naczelnika powiatu, które **Śliwińskiemu**, przybyłemu do mnie z Warszawy według rozkazu doręczyłem. Odrzekłem eksoficerowi tak: „Proszę mi wierzyć, że jak kapłanem jestem, żadnych narodowych pieniędzy nie mam". Kiedy pomimo tego oświadczenia nadal natarczywie pieniędzy narodowych ode mnie żądał, pokazałem mu drzwi i rzekłem: „Won!" Przez 10 dni był spokój. Przez ten czas bawił ekskomendant u naczelnika straży ziemskiej w Prochenkach, którego żona była przedtem w powstaniu roznosicielką depesz, a jej siostra podobno narzeczoną eksoficera. Ten naczelnik, wyśledziwszy jakieś niebezpieczne indywiduum powiedział, że, jeżeli owego, co go widział we wsi, nie przychwyci, wtenczas zakuje w kajdany jego wraz z całą rodziną swej żony i odstawi do Siedlec. Wobec tej groźby zniknął. Zanim jednak uciekł, postanowił mnie powiesić. Uniknąłem śmierci dzięki interwencji **Makowskiego**, który potępił jego zamiar i jego kompana, doradzając mu natomiast, by uszedł za granicę jak najprędzej, co mu właśnie ułatwi ks. Sieniewicz. Tak tedy przybyło do mnie dwóch zbrojnych w dubeltówki mężczyzn. W towarzyszu eksoficera poznałem dawnego szynkarza z Kijowa **Zubańskiego**. Powiodłem ich do śpichlerza i ulokowałem na strychu. Po 4 dniach wywiodłem ich obu do lasu i wskazawszy drogę do granicy, pożegnałem. Potem powróciłem do domu. Dopiero po upływie 8 tygodni dowiedziałem się, że eksoficer ów miał wobec mnie takie zamiary...

Jadąc raz do Worońca, gdzie mieszkał mój kolator książę Światopełk-Mirski, zboczyłem z drogi do wioski szlacheckiej **Skolimowa**, zamieszkałej przez osadników, którzy za czasów polskich mieli w razie potrzeby stawić do wojska jeźdźca na własnym koniu. Nie wiem czyja to była partia (podobno Krysińskiego), którą w tym miejscu spotkałem. Przechodząc pośród wypoczywających szeregów zauważyłem młodziutkiego powstańca, który, siedząc na kamieniu, opatrywał sobie rany na nogach. Był to syn sąsiada mego ojca **ks. Filewicza** ze Żulina. Gdy go chciałem wziąć do siebie i po czasie rodzicom zwrócić, odrzekł: „Nie po to poszedłem do powstania, aby wracać. Wytrwam do końca, a co będzie, nie wiem". Młodzieniaszek nie zginął i mieszkał później w Krakowie jako główny kasjer przy kolei...

Potem udałem się do Woronća. Zwróciłem się do dworu, by zobaczyć się z księciem. Zastałem go w domu wraz ze żoną, Jagminówną z domu, której brat był powstańcem i przebywał we Florii. Książę zaproponował mi taką rzecz, mówiąc: „Proszę te dwa pistolety o rękojeściach inkrustowanych złotem wręczyć Jagminowi, który jest w partii. Niech mu służą do obrony". Powróciwszy do Swór zmieniłem odzież, a siadłszy na wóz drabiniasty pojechałem do lasu. Powoził syn diaka **Paracewicza**, chłopiec 15-letni. Zanim dojechaliśmy, wysunął mi się jeden z pistoletów spod ręki, a spadając między szczeblami drabiny, odleciał daleko. Słońce świeciło, a złoto lśniło. Poleciłem chłopcu podnieść ten pistolet i mnie go oddać. Kiedym jechał bocznymi drogami w lesie, dążąc do obozu, zauważyłem podejrzane znaki, jakby zdrady... Wieśniak jakiś z przeciwnej strony lasu postawił kosę ostrzem obróconą w stronę, gdzie się obóz znajduje. Było tych kos kilka w znacznej od siebie odległości, a przestrzeń między nimi wypełniały ułamane i z drzew zwisające gałązki. Dotarłszy do straży, oznajmiłem, że chcę mówić z Jagminem. W obozie ujrzałem mężczyznę w średnim wieku, z Radzymina podobno, pod wartą, podejrzanego o zdradę. Prosił mnie, abym się wstawił za nim, gdyż nie ma ochoty wisieć. W tej chwili zjawił się Jagmin. Oddałem mu pistolety i prosiłem go, aby wstawił się za owym człowiekiem. Ale na nic się to nie zdało. Powieszono delikwenta o kilka mil poza Florią. Prawie równocześnie powieszono wójta z' Chuszlewa, którego spowiadał rzekomo jakiś dominikanin. Kiedy powróciłem do domu, doręczono mi depeszę z rozkazem, abym odszukał **Lewandowskiego** i ostrzegł go, że Moskale wysłali za nim dwu szpiegów. Nie chciałem pominąć tego bez odpowiedniego działania, nie mogąc zaś liczyć na nikogo, sam się podjąłem tej misji i rozpocząłem ją od Zalesia, gdzie przebywała p. **Bogusławska**, wdowa po polskim pułkowniku, będąca w podeszłym wieku.

Wziąłem uprząż gospodarczą i okryłem się starannie, aby nie poznano, że jestem księdzem, bez woźnicy puściłem się w drogę i trzeba było przejechać przez Kijowiec, gdzie mnie przecież znano. Przez Bug koniecznością było przeprawiać się na drugą stronę. Nad brzegiem zetknąłem się z parafianinem, który był niegdyś gwardzistą cesarskim. Przewiózł mnie czółnem na drugi brzeg. Do Zalesia przybyłem około godz. 9 wieczór. Pani Bogusławska i zięć jej p. Ławicki byli w domu. Powiedział on mi, że zamierza napaść na trzy roty piechoty rosyjskiej przebywającej w namiotach, roty te mają broń rozstawioną w kozłach, a starszyzna zajmowała karczmę murowaną, stojącą przy szosie, w pobliżu obozu. Gdy oznajmiłem Ławickiemu, że mam do Lewandowskiego depeszę, wyszedł na ganek, uderzył w myśliwską trąbkę i wkrótce ze stacji pocztowej przybył pocztylion na koniu. Ławicki wręczył mu depeszę, polecając oddać ją, komu należy. Pocztylion powrócił z odpowiedzią, że Lewandowski wie o wysłaniu za nim szpiegów.

Lewandowski tak zarządził swemi siłami, że kilkunastu ludzi zostawił w tyle, kilkunastu wysłał naprzód, a sam postanowił całą siłą ruszyć na obóz. Miejsca, gdzie stały pikiety, powstańcy znali. Powstaniec powrócił a w kwadrans potem o północy posypały się strzały. Warty sprzątnięto. i trzy roty wojska padły trupem. Niektórzy uciekali w kierunku Brześcia Litewskiego, z którego gościniec rządowy wiodący do Białej przecinały dwa koryta rzeki Krzny; nad nią były dwa mosty. I tak po zgnieceniu sił głównych osaczyli powstańcy karczmę. Gdy oficerowie rosyjscy zaczęli się ostrzeliwać z wewnątrz lokalu, podpalono karczmę, lecz zanim dach spłonął, Lewandowski zaprzestał

St. R. Sichrawa Bilińska

List-piosenka

Ze stoku góry sączy się zdrój,
Wciąż z nowa sączy, płynie dalą...
Już raz na zawsze los ten mój
Z Twoim się życiem sprzągł i spala...

Choć przestrzeń dzieli, sprzysiągł się czas,
Niczym dla myśli, przestrzeń, lata.
Co innych dzieli, łączy nas,
Dwa różne duchy w jedność splata.

Wciąż widzę Ciebie i słyszę głos,
Każda myśl Twoja ku mnie spływa,
Z mojej tęsknoty powstał most
I snów Twych rzuca mi przędziwa...

Ślę Ci wyznanie moje bez słów,
Nie kablem i nie falą Hertza.
Przyjmiesz je odbiornikiem Twych snów,
Choć to nie eter drga, lecz.... serce!

oblężenia i podążył do lasu. Będąc już w lesie, usłyszeli wojownicy tentent galopujących koni wojska zdążającego na odsiecz osaczonym w Białej. Dokąd udał się po tym Lewandowski — nie wiem... Pożegnawszy mieszkańców dworu i po otrzymaniu wiadomości o udaniu się napadu, deliberowałem nad tym, którędy wypadnie mi powracać do domu. Jechać przez rzekę znaczyło zdradzić siebie samego, przejechałem więc szosę w poprzek i okrążając lasami miejsca dla mnie niebezpieczne, objechałem poza Białę, i już byłem na drodze wiodącej do domu. Podróż trwała cały dzień. Powróciwszy otrzymałem wiadomość tej treści: „Zdradzono Cię, obwiniając, żeś brał udział w bitwie pod Oskrzenicami". Po upływie trzech godzin otrzymałem drugą depeszę: „Cudem ksiądz ocalony". Wieści tych udzielał mi **Tomaszewski, funkcjonariusz rosyjskiej kancelarii wojskowej**, Polak. Sprawa o udział w bitwie miała taki przebieg: Kiedy denuncjant zgłosił się do urzędu i tam mnie oskarżył, pułkownik **Papaafanasapułow**, Tatar rodem, usunął delatora do innej izby. Wtedy Tomaszewski, wymyśliwszy jakąś potrzebę, zdołał skreślić wiadomość, którą mi doręczono i po chwili powrócił do swego biurka. Pułkownik przyszedł do kancelarii ze swego gabinetu i wezwawszy donosiciela do protokółu, zadał mu pytanie, czy widział księdza w bitwie i czy sam był tam, a gdy odpowiedział, że nie był, ale księdza widział koło rzeki na dwie godziny przed bitwą, gdyż kto chce dostać się do Piszczaca, musi przejeżdżać przez rzekę, bo most dawno spalono. Po chwili oburzył się pułkownik tak bardzo na denuncjanta, iż go zepchnął ze schodów i krzyknął: „Paszoł won!" Epilog tego zdarzenia ocalił mnie znowu.

Przez długi czas nie wiedziałem co się dzieje z Lewandowskim, aż wreszcie dowiedziałem się, że zajął pusty dwór w Staninie. — Gdy Moskale otrzymali wiadomość gdzie on przebywa, wysłali kilka rot wojska z kozakami. Powstańcy powiadomieni wypełnili na czas co do joty rozkaz swego wodza. Ukrywszy się po zaułkach i pod dachem po kilkunastu mieli razić wroga skutecznie. Moskale padali jak muchy, nie wiedząc skąd strzelano, co nie przeszkodziło głównej sile nacierać na dwór, lecz rażona silnym ogniem z wnętrza dworu musiała rejterować. Lewandowski wyszedł z swej fortecy. Moskale postanowili pokonać go. Po zapamiętałej walce, w której raniono Lewandowskiego nie było nadziei skutecznej obrony. — Niektórzy powstańcy pierzchli, więcej ich legło trupem, a komendanta skryto pod mostem. Odkryli go Moskale. Niedobili go, lecz przewieźli do Siedlec i umieścili w szpitalu wojskowym. Dowódcą siły zbrojnej rosyjskiej w Siedlcach był generał Eger. Po upływie miesiąca Lewandowski wyzdrowiał. Komendant kazał straży wojskowej przyprowadzić go do swej kancelarii, umieszczonej przy mieszkaniu swym prywatnym, by z Lewandowskiego ściągnąć protokół. Nastąpiło dziwne zdarzenie. Eger przyjrzawszy się jeńcowi przekonał się, że to jest ten sam, co go wziął do niewoli podczas walk na Węgrzech i postąpił z nim szlachetnie. Postanowił odwdzięczyć mu się i ocalić przed śmiercią. Poradził mu napisać prośbę do króla belgijskiego (Lewandowski był niegdyś w Belgii), aby się wstawił za nim u cara. Przyjaźń dworów była tak silna, iż Lewandowskiego uwolniono.

Marian Manteuffel

Obronność kraju

Na świecie odbywa się wyścig zbrojeń. Zbroją się wszystkie państwa: jedne, bo chcą — inne, bo muszą. Zbrojenia jednego pociągają za sobą zbrojenia drugiego. Nie ma innego wyjścia. A na skutek tych ogólnych zbrojeń, ogólna sytuacja staje się niemal z każdym miesiącem trudniejsza i bardziej naprężona. Świat oparł się na bagnetach, pomimo tylokrotnych smutnych doświadczeń, mówiących, że w tej arcy-niewygodnej pozycji dotychczas nikt długo wytrwać nie potrafił. Nie zważając na to świat powtarza eksperyment, tylko tym razem na większą skalę niż, kiedykolwiek.

OBRONA KRAJU.

W związku z tym stanem rzeczy musi i Polska myśleć o obronie — to rzecz jasna, oczywista, konieczna. Jakżeż by mogło być inaczej? Dlatego tak dużo, przy każdej nadarzającej się okazji, mówi się o tym u nas. Na czym jednak polega obronność kraju? Czy tylko na liczebności, wyszkoleniu i odpowiedniej organizacji armii? Na jej duchu i poziomie moralnym? Na odpowiednim doborze sprzętu wojennego? Na stosowaniu najnowszych wynalazków w dziedzinie wojskowej? Na umiejętności organizowania tyłów armii, intendentury, aprowizacji? Nie, nie tylko na tym. Wymowa armat jest wprawdzie bardzo przekonywująca, ale armaty to jeszcze nie wszystko. Sądzę n. p., że w sprawie obronności kraju ma niezwykle dużo do powiedzenia ogólna postawa narodu, poziom jego kultury, jego spoistość wewnętrzna, jego ofiarność i te wszystkie czynniki, które tworzą atmosferę pewności, dają gwarancję rządowi i naczelnemu dowództwu armii, że w razie wybuchu wojny mogą się oprzeć o naród ze stuprocentowym spokojem. Na to trzeba, między innymi, żeby ziemia — zwłaszcza ta nadgraniczna — przeszła zawczasu w ręce nie tylko polskie ale stuprocentowo pewne. Bo ziemia pozostająca we władaniu elementów obcych narodowi, stanowi wielkie niebezpieczeństwo nie tylko na wypadek wojny, ale również i w czasie pokoju. Rozumie to dobrze nasz sąsiad z zachodu — my, niestety, mniej dobrze.

Ale ja to wszystko poruszam, zupełnie zresztą pobieżnie, żeby móc przejść od tego wstępu do omówienia innego tematu, który jednak wiąże — i to ściśle — z obronnością kraju.

Przenoszę się myślą na teren krwawych bojów hiszpańskich, gdzie w tej chwili rozgrywa się ostatni akt niesłychanie zaciętych i niebywale okrutnych walk w Hiszpanii narodowej i katolickiej z wojskiem rządowym, wspomaganym jawnie i jakżeż wydatnie przez Sowiety. Skąd ta zajadłość — pytam — skąd ta nienawiść tych wojsk do wszystkiego, co tchnie wiarą w Boga? Skąd te pożary ogarniające kościoły, klasztory i kaplice, te morderstwa i znęcania się nad księżmi i zakonnikami, bezczeszczenie krzyży, bestialskie niszczenie dzieł sztuki religijnej, obrazów i posągów, wyobrażających Chrystusa Pana i Jego Matkę Najświętszą? Skąd to się wszystko bierze? Nie jest że to dowodem, że w kraju chrześcijańskim a zwłaszcza katolickim, religia i wszystko co się z nią wiąże, a więc kościoły, kaplice, klasztory, przedmioty kultu stanowią potężny bastion obronny, który ludzie zwalczający wszelką myśl Bożą w świecie, starają się zburzyć przede wszystkim, jako najniebezpieczniejszą z ich punktu widzenia i najsilniejszą placówkę obronną ich wroga. Tak, nie ulega wątpliwości, że w kraju tak katolickim jak Polska, religia musi być wybitnym czynnikiem jego obronności. Im więcej będzie pogłębiona, im szersze warstwy narodu obejmie, im jaśniej prześwietli cały organizm państwowy, im bardziej przepoi sobą i uszlachetni wszystkie dziedziny działalności narodu, tym silniejszym stanie się oparciem nie tylko dla poszczególnych jednostek, ale i dla całości narodu, zwłaszcza w chwilach ciężkich, trudnych i niebezpiecznych.

ROLA RELIGII.

Podniosła uroczystość związana z przewiezieniem do Polski relikwii św. Andrzeja Boboli, tego męczennika za wiarę i wybitnego patrona Polski, wskazała wyraźnie i podkreśliła jaką misję historyczną ma do spełnienia Polska odrodzona, znana i głośna w swoim czasie jako „przedmurze chrześcijaństwa", a wierna swej szczytnej misji już od razu na wstępie do swych od nowa, po rozbiorach, nawiązanych dziejów, albowiem odpierając w roku 1920 nawałę bolszewicką spod Warszawy, ocaliła Zachód chrześcijański przed zalewem barbarzyństwa.

Kiedy dn. 19 bm. w czasie uroczystego nabożeństwa na Placu Zamkowym w Warszawie p. Prezydent R. P. złożył na trumnie św. Andrzeja Boboli jako votum swój krzyż niepodległości z mieczami, to ten niezwykły hołd złożony wielkiemu męczennikowi i świętemu, który w czasach najcięższej niewoli przewidział świt polskiej wolności, świadczy wymownie o roli, jaką religia w życiu państwowym Polski odgrywać powinna. I wątpię, by po tym fakcie znalazł się ktoś w Polsce, co by chciał twierdzić, że dla przyszłości Polski jest obojętną rzeczą, czy będzie ona katolicką, areligijną, czy nawet może bezbożniczą. Żeby długie, otwarte granice Polski opasał kiedyś łańcuch kościołów, a przy tych kościołach zamieszkali misjonarze służbie Bożej na życie i śmierć oddani, a Ojczyznę swą miłujący, żeby dokoła stolicy Polski, na jej najdalszych krańcach i przedmieściach, pobudowano kaplice, które by ją otoczyły wieńcem, a przy nich również rozpoczęli działalność misjonarze (na wzór owych cudnych typów niektórych księży francuskich, dans la banlieue de Paris), niosąc robotnikom i nędzarzom i dziatwie opuszczonej i młodzieży bez pracy i oparcia i mętom miejskim i przestępcom, słowa miłości i pociechy i zaczątki pewnej organizacji i materialnej pomocy — to by te kościoły i kaplice w związku z działalnością armii naszej (włączam w to ogromne zasługi K. O. P-u na kresach) dorównały z czasem liniom obron-

Adam Bar

Wśród książek

Może nie będzie paradoksem twierdzenie, że najbardziej charakterystycznym rysem współczesnego człowieka jest — ciekawość, której wyrazem m. in. jest ogólne zainteresowanie książkami, popularnymi, z zakresu techniki i współczesnych badań przyrodoznawczych. Toteż niewątpliwie i książka *Fryderyka Lorenza* pt. *Pionierzy techniki*" (wyd. Książnicy-Atlas, tł. Al. Jesionowskiego) wydana w cyklu „Przemiany" znajdzie chętnych czytelników, tym bardziej, że łączy przyjemne z pożytecznym, daje obraz rozwoju techniki w formie — beletrystycznej. To oryginalne połączenie wydaje się istotnie absurdalne, a jednak książka Lorenza jest właściwie taką niespotykaną powieścią o technice. Źle się wyraziłem — nie powieścią. Lorenz mówi o „nieznanych losach wynalazców na przestrzeni pięciu wieków". Nie rozbiera każdej maszyny, czy też nawet skromnych modeli prymitywnych maszyn, które potem dawały początek nowym gałęziom ludzkiej wiedzy, opowiada więcej o samych wynalazcach, ich małych radościach a wielkich dramatach, o ich stosunku do szarego, tępego tłumu, który nie rozumie często wielkiej myśli, maluje obraz walki wielkości z małością, geniusza ze zwykłym zjadaczem chleba. W tym ścieraniu się sprzecznych instynktów ludzkich maszyna jest tylko drobną sprężyną, która wyzwala z człowieka różne formy namiętności i tworzy wrogów. Lorenz stara się zrozumieć psychikę człowieka genialnego i odtwarza go na tle szarej codzienności. Równocześnie pragnie pokazać, jak z małej maszyny, surowej w swej prostocie i pierwotności powstają przewroty w ludzkim życiu. Opowiada w formie beletrystycznej, unika suchego wykładu, dlatego książkę jego czyta się z niemniejszym zainteresowaniem niżeli najciekawszą powieść. Rozumiemy maszynę i człowieka, który ją zbudował, i patrzymy na jego życie. Najczęściej tragiczne życie. Książka Lorenza jest klasycznym przykładem jak powinna, lub też jak może wyglądać popularna książka o poważnych zagadnieniach, przemawiając do każdej umysłowości.

Ogólne zainteresowanie naszym Centralnym Okręgiem Przemysłowym odbiło się dość silnie także w naszej literaturze. Co chwila zjawia się broszura lub nawet książka, w której znajdujemy taki czy inny obraz teraźniejszości powstającego okręgu przemysłowego, lub też mniej czy więcej hipotetyczny obraz przyszłości. Z tego zainteresowania wyrosła również książka *Jerzego Ostrowskiego* p. t. *„Widły Wisły i Sanu"* (wyd. Roju). Okręg przemysłowy to nie tylko fabryki, maszyny, produkcja, ale również człowiek, który go zamieszkuje. Ostrowski też ledwie po łebkach mówi o maszynach oraz gigantycznych planach, które w niedługim czasie zmienią charakter ziemi między Wisłą a Sanem, a zwraca główną uwagę na wieś. Mówi przede wszystkim o chłopie, warunkach jego dzisiejszego życia, maluje obraz dobrego i złego, tego co smutne i pocieszające. Zwiedza wieś, jej tereny pracy, spółdzielnie mleczarskie, stworzone wysiłkiem chłopów, stara się zobrazować rzeczywistość, aby z niej można było wysnuć wnioski, jak w niedalekiej przyszłości może ukształtować się stosunek wsi rzeszowskiej i sandomierskiej do przyszłego okręgu przemysłowego. Jest to jednak, zastanawiające się nad tymi zagadnieniami również z ogólnej perspektywy, wcale prawdziwa charakterystyka polskiej wsi, wolna od sentymentu i bezkrytycznego społecznikostwa, jedno ganiąca, a gdzie indziej zaprawiona słowami gorącej pochwały, w sumie zaś bardzo prawdziwa.

Drugi, pośmiertny tom powieści *Andrzeja Struga* p. t. *„Miliardy"* — niestety nie kończący dzieła — daje jeszcze głębsze spojrzenie w tragizm życia współczesnego człowieka. Na tle dramatu indywidualnego Lucy Rascob, milionerki z „Pieniądza" Struga, bodaj przez zbrodnię pragnącej zdobyć miłość syna, i dramatu galernika oraz malarza Eltona, rozgrywa się inny dramat, dramat dzisiejszej ludzkości. Dążąc do pogłębienia psychiki bohaterów powieści, Strug rozprasza jej ideologię, ale właśnie dzięki temu przesunięciu najgłębszego nurtu, zjawia się ona w tym ostrzejszych zarysach, natarczywiej narzuca się uwadze, pochłania intrygę i sentymentalność tematu. Ludzie w powieści Struga są uwikłani w jakiejś niepojętej beznadziejności. Głęboki cień sceptycyzmu zasłania perspektywę widzenia; między dalszym horyzontem przyszłości a napojoną pesymizmem, rzeczywistością szarego dnia istnieje jakaś cięż̇ka, gruba zasłona. Stajemy nagle wobec niezdobytej przeszkody. Koszmar pesymizmu, brak celu w życiu, rozpanoszonego zła, nienawiści i walki dla zaspokojenia najbardziej egoistycznych pragnień, wiąże losy kilku ludzi, którzy nie znajdują nigdzie środka, mogącego wyzwolić ich z utrapieńczej beznadziejności. Stary podróżnik, który ucieka przed współczesną cywilizacją do krajów polarnych i odnajduje wartość swego życia wśród prymitywizmu życia Eskimosów, radzi cofnąć życie do naturalnej prostoty i popisuje się anarchistyczną filozofią zniszczenia cywilizacji. Inny znowu milioner, który wszystko stracił, i nawet dzięki zbrodniczej prowokacji dostał się do więzienia, wypieścił w swoich marzeniach teorię ogromnie altruistyczną, pełną najszlachetniejszych porywów: miarą wszystkiego jest człowiek. Ta miara jest utopią, nawet szkodliwą utopią, jak stara się wytłumaczyć stary rewolucjonista Borowiczenko. Nie ma wprawdzie niczego szczytniejszego jak miłość człowieka i wiarę w niego, cóż kiedy ta idea jest grą wyobraźni, czystą teorią, absolutnie nieużyteczną, a nawet dla — rewolucji szkodli-

nym Maginota, ba przewyższyłyby je znacznie. — Odbiłaby się od nich wszelka wraża moc — bo religia silnie w duszach zakorzeniona, to najpotężniejszy fort obronny narodu.

„BEZSILNE SŁOWA".

W roku 1933 wyszła we Lwowie księga zbiorowa pod redakcją prof. Leopolda Caro, zatytułowana „Życie gospodarcze a ekonomika społeczna." Między innymi zawierała ona artykuły „Katolicyzm a przesilenie obecne" oraz „Gospodarstwo — bez Boga." „Robotnik" omawiając powyższą księgę, zwrócił ostrze swej krytyki przeciwko powyższym dwom artykułom (jakżeż mogło być inaczej), dowodząc że głoszą „bezsilne słowa — klerykalne pomysły". Pomijam płytki, aż do znudzenia oklepany zarzut klerykalizmu, powtarzający się przy każdej niemal okazji kiedy katolik dowodzi konieczności oparcia życia narodu na religii. Dziś, po upływie pięciu lat, przychodzi mi na myśl ów drugi zarzut: Bezsilne słowa. Bezsilne — bo mówiły o Bogu; bezsilne — gdyż dowodziły, że życie bez Boga musi się kiedyś załamać; bezsilne — bo twierdziły, że poza Bogiem nie ma Prawdy ani właściwego żywota. Bezsilne! Jakiż to krótki okres czasu — owe pięć lat. A jednak iluż to ludziom nieuprzedzonym specjalnie musiały się w ciągu tego krótkiego czasu oczy otworzyć właśnie na owe prawdy. Spójrzcie na Wschód: Cóż się dzieje w Rosji Sowieckiej? Tam właśnie wyobrażano sobie, że człowiek bezkarnie i bez szkody dla siebie zwalczać może Boga w duszach ludzkich. Spójrzcie na Zachód: Jaki los zdaje się spotykać Czerwoną Hiszpanię? Tam właśnie palono kościoły, klasztory, męczono księży i zakonników, bezczeszczono krzyże... I zważcie teraz, czy raczej nie wasze słowa, pewne siebie, wyrosłe z pychy, okazały się w rezultacie w najwyższym stopniu bezsilne?

W roku 1933 żadnemu z naszych krytyków nie przyszłoby na pewno na myśl, że za pięć lat (jakżeż szybko minął ten czas!) najwyższy dostojnik Państwa Polskiego złoży swój krzyż niepodległości, jako votum, na trumnie św. Andrzeja Boboli.

Rozmaitości

Jak długo żył człowiek w epoce kamiennej

Pewien uczony francuski, przeprowadzając badania nad czaszkami szkieletów ludzkich z epoki kamiennej, doszedł na podstawie porównań szwów czaszki do ciekawych wniosków co do długości życia ludzkiego na ziemi w epoce kamiennej. Na 173 zbadanych szkieletów, stwierdzono tylko w 3-ch wypadkach wiek ponad 50 lat. U reszty granica wieku leżała znacznie niżej, kobiety w epoce kamiennej umierały w okresie przekwitania, który następował wcześniej niż u kobiet współczesnych. Przeciętna długość życia ludzkiego w epoce kamiennej zamykała się w granicy 30—40 lat. Dziś wiek przeciętny człowieka wynosi 60 lat.

Rozrywki umysłowe Nr 28/119

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

ZADANIE POZAKONKURSOWE.

Szarada poświęcona WPanu Ariuszowi Droskiemu — chlubie polskich szaradziarzy.

ul. **„Andrus"** — Kraków.

Gdzie się podziałeś, Cny Kolego?
Czy dotknął Cię już losu cios?
Czy Cię już Święci w niebie strzegą?
Czy dojdzie Cię mój smętny głos?

Czy może ręka Twej Ksantypy
zbyt silnie Cię huknęła w skroń?
Czy zżarły pióro Twe polipy,
w daleką odpływając toń.

Kędyś w **raz-drugie-trzecie** wody,
gdzie ich nie znajdzie chyba nikt,
gdzie urządzają korowody —
Ariusza pióro byczy wikt.

Gdy dawniej mnie gnębiły troski,
w serce się wgryzał szczur czy kret —
wiedziałem, że go Ariusz Droski
humorem swym odpędzi wnet.

Dziś **jedenaście-tuzin** w brzuchu
mnie bardzo, lecz cóż robić mam?
Gdzie jesteś stary, wierny druhu?
Czy długo pozostanę sam?

Wiele łączyło nas, bez błagi,
wie dobrze szaradziarska brać:
Tyś w poprzek umiał jeść szparagi —
ja je wiązkami lubię ćpać.

Tyś bank otwierał bez wytrycha —
a ja wytrychem „robię" bank —
kto mi na drodze staje — zdycha,
mnie nie powstrzyma nawet tank.

Tyś adorował hulaj-nogę,
ja damską nóżkę wolę wciąż,
i nic już na to nie pomogę,
jako, że jestem „wierny mąż".

Tyś często bywał „zimnym draniem"
głosiłeś o tym wzdłuż i wszerz,
ja, zgodnie z moim przekonaniem,
„gorącym draniem" bywam też.

Pięć-tuzin różnice systemu
na jego nie wpływają treść,
a ja **dwa-trzecie-dziesiątemu**
Mistrzowi zawsze oddam cześć.

Siódme-trzynaste-pierwsze szarad
niełatwym jest, ja o tym wiem,
często myślowy mój aparat
z wysiłku się zamienia w krem.

A wówczas się okrutnym staję,
jak **Dziewięć-siódmy** jestem zły,
w kąt idą dobre obyczaje
i wszystkim pokazuję kły.

Pardon! Bo kieł mam tylko jeden,
drugi już dawno poszedł w świat;
Ariusz ma w sumie zębów siedem,
ja więcej ponosiłem strat.

W mym **szóstym-czwartym** inne miłe
czułe stworzenie wodzi rej,
co, łącznie z miotłą, tworzy siłę;
w to mi, Ariusz, wierzyć chciej!

Z nią wszelkie **siedem-jedenaście** —
ósme i pierwsze próżna chęć,
ona ma zębów kilkanaście,
a ja (z kłem włącznie) tylko pięć

O **ósmej i trzynastej** dużej
ten champion wali prosto w twarz,
knock-out'ów nie wytrzymam dłużej,
bo mnie nie chroni żadna straż.

Nie wiem, czy **szósta wspak i piąta**
moja do ręki dojdzie Twej,
lecz w **cztery-siedem po dziewiąte**
uznanie moje wierzyć chciej!

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z III. KONKURSU.

Z Nr 17/108.

Zad. 1 — Rebus: Nargile.

Zad. 2 — Szarada: Zazieleniły się wierzby.

Zad. 3 — Logogryf: Rozrywki Umysłowe — Gimnastyka umysłu (raróg, okapi, załam, Roman, Yucca, wrzos, karat, ikony, Uzbek, Mekka, Yosen, spazm, łyżwy, oniks, wądół, Eylan).

Zad. 4 — Szarada: Kastaniety.

Z Nr 18/109.

Zad. 5 — Logogryf: Konstytucja Trzeciego Maja (kondor, ołtarz, niecne, stolec, tytani, yankes, twaróg, uroczo, czasem, jagoda, Asagaj, tarcza).

Zad. 6 — Logogryf: Że trzeci Maj na szkoły daj (żeton, ekipa, Tytus, remiz, zmrok, Erato, cokół, iskry, magid, arena, Jokaj).

Zad. 7 — Szarada: Ramajana.

Zad. 8 — Logogryf: Wiosna w pełni (Kowno, Chiny, Kioto, Wisła, Tinos, Mława, Rewel, Sopot, Ateny, Wołga, Hondo, Spisz).

KUPON Nr 28/119
ważny do 24. VII. b. r.

wą. Mit o człowieku jako dźwigni dziejowej to dobre dla humanitarnego klubu starych, znudzonych panien, nie zaś dla dzisiejszego świata, opanowanego przez nakazy pieniądza i wyrafinowaną technikę. Te słowa Borowiczenki niemal kończą drugi tom powieści Struga, pozostawiając jej ideologię w beznadziejnej pustce. Altruizm, idealizm i inne pięknie brzmiące truizmy nie mogą się ostać wobec prawdy życia, które szuka rozwiązania najgłębszych pragnień ludzkiej duszy w trzech wymiarach. Więc do czego człowiek właściwie dąży? Na to pytanie śmierć nie pozwoliła Strugowi odpowiedzieć. Dogłębne szukanie jakiejś ostoi dla zbankrutowanego człowieka, zadręczonego w upiornym uścisku pieniądza, licytacja starych ideałów, prowadzi ostatecznie do — wielkiego znaku zapytania. Pustka. Drugi tom powieści Struga w dramatycznym napięciu akcji jeszcze doraźniej podkreśla beznadziejność, dzisiejszej zmaterializowanej ludzkości. Książka jest rozpaczliwym wołaniem o ideę.

Zwrot ku regionalizmowi jest modnym hasłem dzisiejszej naszej literatury. Idzie on najczęściej w parze ze społecznikostwem, który najjaskrawiej zjawia się w naszej powieści wiejskiej, zaprawionej tu i ówdzie dość jaskrawo tendencją. Frontem do wsi, to hasło dałoby się wykryć w „Martynie" Kędziory, jak w „Drodze do wsi" Wincentego Burka, w „Spowiedzi" Mortona lub w niefortunnych przygodach „Kunefała" Piętaka. *Jan Waśniewski* podejmuje znowu inne hasło, rzucone przez Morcinka: frontem do kopalni. Napisał więc dwie powieści, zupełnie dobre: „Na podszybiu" i „Ognie w pirytach", w których z powodzeniem robił konkurencję Morcinkowi. Obecnie wydał zbiór opowiadań pt. *„Po dniówce"*. Mają one wybitny charakter regionalistyczny. Odznaczają się najcenniejszą zaleta — prostota. Stary górnik, po dniówce opowiada o dawnych i niedawnych czasach, i o ludziach, a przede wszystkim o ich utrapieńczej doli. Opowiada swoim olkuskim czy dąbrowieckim językiem, bez sztukateryj literackich, bardzo prosto. Mówi też o prostych ludziach. Waśniewski nie szuka skomplikowanych dramatów, nie ubiega się o głęboką psychologię, literat w jego opowiadaniach znika, stara się mówić i rozumować rozumieniem prostego górnika. A przyznać należy, że ten cel osiąga w stu procentach. Zasłuchani jesteśmy w tych opowiadaniach o górniczej doli, o losie biednych ludzi, którym dopomagają złe i występne instynkty bliźniego. Są to proste dramaty, jak też prostymi są ich aktorzy. Życie to szare, wymagające walki, gnębiące słabych i niedołężnych, a dające wygraną brutalnej sile. I dlatego jest to raczej smutna książka.

Kilka powieści, największego islandzkiego pisarza *Gunnarssona*, wydane w przekładzie polskim dają czytelnikowi wielką sumę silnych i emocjonujących wrażeń. Rzecz szczególna, powieści Gunnarssona nie odznaczają się wybitną dramatycznością, nie posiadają napiętej akcji, są raczej spłowiałe w monotonii codziennego życia, a jednak pochłaniają uwagę, jak najbardziej sensacyjny romans. Taką jest również najnowsza jego powieść, pt. *„Okręty na niebie"* (wyd. Renaissence, tł. H. Leśniewskiej). Wspomnienie dzieciństwa — temat stary jak świat, w beletrystyce nieraz wyzyskiwany w różnych postaciach i formach oraz pod różnymi kątami widzenia, a jednak w utworze Gunnarssona zjawia się w nowych barwach. Niema tu problemów, godnych głębokiej, filozoficznej analizy, oraz szerokiego psychologicznego podmalowania — życie jest szare, składa się z drobnych scenek, schodzących zawsze poza margines naszej uwagi, a wielkie wydarzenia odbijają się z plastyczną i trwałą wyrazistością w naszej pamięci. Toteż w powieści Gunnarssona dzień jest bardzo monotonny, powszedni, trudno wczoraj od dzisiaj odgraniczyć, ale w tej powszedniości widać najoczywistszą rzeczywistość, jedyną prawdę, niezakłamane życie. W tym właśnie leży sens powieści Gunnarssona. Choć to jeszcze nie jest wszystko. Gunnarsson jest pisarzem islandzkim, z powieści jego przemawia jakaś surowość, niezafałszowana prostota, widoczna w każdej najbłahszej scenie. Dzięki temu stopień prawdy życia w jego powieściach umacnia się i wyjaskrawia. Te cechy spychają poza artystyczną konieczność momenty kompozycyjne, pozwalające zrezygnowawać z żmudnie budowanej akcji, wystarczy notować co dzień niesie i ludzkie losy dyktują, aby powieść pochłaniała bez reszty uwagę czytelnika.

W setną rocznicę urodzin, a czterdziestą śmierci *Asnyka* ukazał się spory tom jego *Korespondencji oraz materiałów do życia i twórczości poety*, w wydaniu *Antoniego J. Mikulskiego*, wydobytych z archiwum Zarządu Głównego TSL w Krakowie, którego to Towarzystwa Asnyk był założycielem i pierwszym prezesem. Listy i materiały podzielił wydawca na trzy grupy: listy różnych osób pisane do Asnyka w najrozmaitszych sprawach redakcyjnych, społecznych i politycznych, listy Asnyka do ojca Kazimierza, i wreszcie na inne materiały. W ten sposób znalazła się w jednym tomie wielka ilość bardzo ciekawego materiału, rzucającego sporo światła na ocenę osobowości poety i jego działalności zarówno literackiej jak i społecznej, oraz doskonale ilustrującego epokę. Pirwsza grupa listów pozwala wniknąć w szczegóły życia literackiego ówczesnej chwili. Listy do ojca prowadzą bardzo głęboko za kulisy wewnętrznych przeżyć Asnyka, odsłaniając duszę, religijność i chrześcijańską pokorę. Wszystkie materiały zaopatrzył Mikulski w wyczerpujący komentarz, starając się naświetlić ustępy, które mogłyby być niezrozumiałe. Jest to wydawnictwo bardzo cenne, które przyszłemu monografiście Asnyka — oby taki jak najprędzej się zjawił — da sporą ilość pierwszorzędnego materiału.

Ż Y C I E R E L I G I J N E

Przegląd spraw religijnych

U nas w Polsce zdarza się nieraz spotkać w katolickich kołach zdanie, że jedynym wyjściem z obecnego rozstroju polityczno-społecznego i jedynym sposobem realizowania idei katolickiego państwa jest — monopartyjne i totalistyczne państwo, zaprowadzone oczywiście i utrzymywane siłą i gwałtem.

Państwo takie byłoby domem niewoli (jak Rosja Sowiecka, lub hitlerowskie Niemcy), stałoby więc krzywdą ludzką i nie byłoby prawdziwie katolickim państwem. Ponadto sądzę, że prawdziwi katolicy nie są zdolni do stworzenia, a zwłaszcza do utrzymania takiego państwa. Musieliby nie tylko raz gwałtu dokonać, obejmując rządy, ale gwałty musieliby popełniać codzień, by w zarodku zdusić wszelką opozycję. I tak ciągle musieliby urżeć, by na ich siłę nie powstała większa. Przykład z Austrią jest pouczający...

Austria Dollfussa pod pewnym względem była państwem totalnym. Schuschnigg nie chciał jej taką na zawsze zostawić. Obiecywał i częściowo nawet zaczął wprowadzać w życie pewne wolności (np. wybory władz do ustroju stanowo-zawodowego). Przeliczył się jednak ze swymi możliwościami. Hitleryzm nie krępuje się w używaniu gwałtu, gdy katolika moralność chrześcijańska mocno w tym względzie wiąże. I padł w walce z tego powodu, że mu katolickie sumienie nie pozwoliło tak bezceremonialnie stosować gwałt, jak je stosował obóz przeciwny.

Te i podobne myśli przewijają się ciągle przez katolicką prasę Francji.

KATOLICY FRANCJI PRZECIW TOTALIZMOWI.

Można powiedzieć, że cała szczerze katolicka Francja jest przeciw totalizmowi. Nie dlatego, by nie chciała takiej Francji, która by w całości (więc — totalnie) była katolicką. Ale dlatego, że nie wierzy, by się to dało osiągnąć na drodze rewolucyjno-mechanicznej, tj. przez przewrót i potem gwałt. Z tego względu ciekawie zapowiadają się obrady tegorocznego „Tygodnia Społecznego" katolików francuskich, który się ma odbyć z końcem lipca w Rouen. Tematem tego „Tygodnia" będą „wolności w życiu społecznym". Dla tego, kto zna nastroje panujące w katolickich kołach Francji, tak świeckich, jak duchownych, nie ulega wątpliwości, że „Tydzień" w Rouen będzie bardzo daleki od wszelkiego totalizmu. Zaznaczył to w „la Croix" niedawno prezes komitetu tych „tygodni społecznych", prof. E. Duthort, a świeżo wraca do tego tematu wybitny działacz na tym polu, ks. Thellier de Poncheville, w tym samym dzienniku.

WOLNOŚĆ KATOLIKÓW WE FRANCJI.

Ks. de Poncheville nie jest zachwycony „świecką" Francją. I stawia katolikom francuskim przed oczy nową, katolicką Francję, jako cel, do którego dążyć powinni. Przestrzega ich jednak przed wymawianiem się od pracy pod pozorem, że nic się nie da zrobić w tej „świeckiej" Francji, i że wrogie obozy zbyt są silne. Jest to nieprawda.

„Mało jest wielkich państw — pisze — gdzieby rząd pozwolił Kościołowi bez żadnej kontroli organizować swe stowarzyszenia, swe kongresy, swoją prasę, swoją propagandę, jak to robi rząd we Francji. Większość państw otoczyłaby szczególnym nadzorem zwłaszcza nasz Tydzień Społeczny, który by nigdy nie mógł powiedzieć otwarcie tego, czego naucza we Francji od lat 30 z najzupełniejszą swobodą".

CZYŻBY ZMIANA W MEKSYKU?

Katolicka prasa Ameryki twierdzi, jakoby prezydent Meksyku, Cardenas, miał zamiar zmodyfikować stosunek państwa do Kościoła. Wpływa na niego kilka pobudek.

Naprzód — ogromna ilość petycyj podpisywanych masowo przez katolików, a żądających powrotu księży i otwarcia kościołów. Następnie — sam Cardenas wyraził żywe zadowolenie z zachowania się Episkopatu i kleru, który podczas ostatniego konfliktu Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi w związku z wywłaszczeniem zagranicznego kapitału naftowego poparł stanowisko rządu, zachęcając wiernych do ofiar i danin na rzecz państwa, by pokryć odszkodowanie zagranicznego kapitału. Pierwsi biskupi dali przykład, składając skarbowi państwowemu na ten cel znaczniejsze kwoty. Wreszcie duży wpływ na zmianę przekonań Cardenasa miało wywrzeć obecne zachowanie się byłego ministra skarbu, Ludwika Cabrery.

Miał on dotąd opinię bezwzględnego marksisty i wroga Kościoła. Ostatnio Cabrera ogłosił w prasie meksykańskiej dłuższy artykuł, w którym oświadcza:

„Jestem wrogiem ograniczania praw cywilnych i obywatelskich księży. Jestem wrogiem głupiego radykalizmu, który chce, by się księża pożenili, i który twierdzi, iż są poddanymi obcej władzy i z tego powodu winni być wypędzeni ze swej ojczyzny jakby byli niebezpiecznymi obcymi obywatelami".

Cabrera przestrzega także przed rozwojem protestantyzmu i żąda pozwolenia na otwarcie seminariów duchownych w Meksyku, ponieważ — pisze — Meksyk potrzebuje księży meksykańskich, wychowanych w swoim ojczystym kraju... Wreszcie Cabrera żąda wolności nauczania dla katolików.

Wcześniej, czy później postulaty Cabrery będą spełnione. Jest to naturalny bieg rzeczy. Po okresie szału antyreligijnego przychodzi z czasem okres upamiętania i Kościół wraca do swoich praw i do swobodnego wykonywania swej misji. Kościół jest bowiem niezniszczalny, a życiu społecznemu i państwu oddaje nieporównane przysługi. Tylko historyk pyta się wówczas: po cóż było walczyć, jeśli w końcu trzeba do Kościoła powrócić?... Lecz ludzie nie chcą się uczyć z historii. Muszą się uczyć na sobie, na własnych klęskach i upokorzeniach. I to nawet nie zawsze. Ich upór bywa czasem silniejszy, niż ich głos rozsądku.

Pejot.

Z obcej niwy

Religia w Sowietach

„Tragedia Kościoła prawosławnego w Sowietach". Pod takim tytułem dziennik katolicki w Mediolanie „L'Italia" (z dn. 25 czerwca b. r.) zamieszcza szereg artykułów o sytuacji religijnej w obecnej Rosji. Okazuje się, że mimo pozorów „tolerancji religijnej", głoszonej przez nową konstytucję stalinowską, położenie wszystkich wyznań a zwłaszcza chrześcijańskich przedstawia się w Sowietach wprost tragicznie. W praktyce rozszerzanie wiary jest wzbronione, choć w teorii dozwolone jest „swobodne praktykowanie wyznawanej wiary " — a jednocześnie zwalczanie wiary z coraz większą finezją jest organizowane.

Właśnie od czasów wprowadzenia konstytucji stalinowskiej propaganda antyreligijna wzmogła się ogromnie. Otwarte zostały nowe kursy dla agitatorów bezbożnictwa. Powstało 19 nowych muzeów antyreligijnych. Czasopismo „Bezbożnik" ze 105.000 egz. nakładu w r. 1936 doszło obecnie do 230.000 egz. Wydaje się olbrzymie sumy na druk broszur propagandowych antyreligijnych.

Pomimo to wszystko nawet sami bolszewicy przyznają, że wierzeń religijnych nie udało się wyplenić. Według ostatnich obliczeń podanych przez prof. B. Sové wykładającego teologię prawosławną w Instytucie rosyjskim w Paryżu — dotąd do Kościoła prawosławnego należy w Rosji około 30 proc. całej ludności. Ciekawe są statystyki rad gminnych, które określają przynależność religijną. W okręgu np. Gorkij (dawniej Niżny Nowgorod) na 10.000 osób chrześcijan 64 procent stanowią mężczyźni, a 36 procent kobiety, przy czym trzecia część tych osób w wieku około 30 lat i wielka ilość młodzieży.

Pomimo, że nowe pokolenie Rosji sowieckiej było wychowane w atmosferze nienawiści do chrześcijaństwa, jednak sami bolszewicy przyznają, że wśród młodzieży rosyjskiej budzi się zainteresowanie problemami religijnymi. Tak np. sam Jarosławski (Gubelman), osławiony przywódca organizacji bezbożniczych, w czasopiśmie „Antireligicznik" (nr 6 z 1937) zadaje pytanie:

Kto są ci co chodzą do cerkwi, jawnie lub potajemnie biorą udział w praktykach religijnych? Otóż okazuje się, że nie tylko starcy, ale i młodzież. Np. w miejscowości Kostych położonej przy kolei, mieszka około 10.000 młodych robotników, a wśród nich odnaleziono ukrytych 50 duchownych. W mejscowości Dublianczyn młodzi ludzie, robotnicy kolejowi, zorganizowali chór cerkiewny, złożony z 50 członków. „Komsomolskaja Prawda" wykazując wzrost uczuć religijnych wśród młodego pokolenia Rosji, pisze:

„W okolicach Woronieża wykryto tajny klasztor, zorganizowany przez dziewczęta, należące do okolicznych kołchozów".

Czasopismo bolszewickie „Socjalisticzeskoje Liesodelje" pisze o potajemnych kółkach i związkach, na których młodzież w Sowietach czyta biblię — i prowadzi rozmowy na tematy religijne. W miejscowości Zasław w okręgu Winnicy, młodzież zwróciła się do władz sowieckich z prośbą o otwarcie cerkwi powołując się na nowe przepisy konstytucji.

„Jest to smutny objaw — pisze komunistyczny „Uralskij Raboczij", **że do cerkwi garnie się — pomimo naszej propagandy antyreligijnej — tak wiele młodzieży".**

Życie religijne ma jednak w dzisiejszych Sowietach wiele cech przypominających czasy prześladowania pierwszych chrześcijan. Wysłannik paryskiego „La Croix" Olaw Leroi po powrocie z Sowietów, opisując swe wrażenia, stwierdza, że oprócz nielicznych, jawnie działających kapłanów istnieją tam jeszcze dwa inne rodzaje: jeden to wędrowni duchowni, którym nie wolno według reskryptu władz nigdzie osiedlać się na stałe. Ciągle w drodze przechodzą miasta i sioła, przyjmując tylko krótką gościnę, wieczni tułacze, jak w czasach apostolskich. Idą, nauczając i podtrzymując na duchu tych wiernych, którzy ich przyjmują u siebie.

Inny rodzaj — to duchowni robotnicy. Ukrywają się wśród szarej masy, pracując fizycznie — a w chwilach wolnych nauczają zasad wiary. Cieszą się oni wielkim szacunkiem wśród ludu. Władze sowieckie wiedzą o tym, ale są bezsilne.

Zdawało się, że po tak strasznych prześladowaniach, jakie trwają od czasów rewolucji październikowej, chrześcijaństwo w Rosji zniknie. Tymczasem młode pokolenie znowu zwraca swe oczy stęsknione do Krzyża Zbawcy świata. Londyński „The Tablet" podaje: „Ostatnio oblicza się, że różne organizacje chrześcijańskiej młodzieży w Sowietach liczą około 2 milionów członków. Krzyż Chrystusa zwycięży, ale z męki i prześladowań prawosławni w Rosji wynoszą przekonanie, patrząc na heroizm katolickich kapłanów, że chrześcijaństwo ostoi się w walce z Antychrystem wówczas, jeżeli skupi swe siły pod kierownictwem Namiestnika Chrystusa" (Religions Conditions in Russia). (KAP).

„Idee - siły"

„Osservatore Romano" z 18 bm. w art. „Idee — siły". — Zadania apologetyki (Idee-forze — Esigenze dell'Apologetica) z powodu ukazania się nowej książki Leona de Grandmaison **„O kryzysie wiary wśród młodych"** (La crise de la Foi cher les jeunes) podaje cenne uwagi o nowoczesnych metodach obrony wiary.

Żyjemy w czasach, kiedy sztuka propagandy przenika wszystko, gdy losy polityczne całych państw zostały uzależnione od nasycenia mas taką czy inną ideą. Przywódcy państw zaczynają sobie coraz dokładniej zdawać sprawę, że nowoczesnym życiem zbiorowym rządzą tzw. **„idee — siły"**, to znaczy idee przewodnie, które przez propagandę i sugestię zostają związane niejako organicznie z wolą tłumów. Te „idee — siły" odgrywają dziś w sztuce rządzenia rolę motorów potężnych, które za poruszeniem przez specjalnie wyszkolonych propagatorów wywołują żywiołowe poruszenie mas.

Niesłychane nasilenie tej propagandy nowoczesnej (komunizm, hitleryzm) uderzającej również w zręby Kościoła, wymaganej kontrofensywy, skrojonej na skalę uniwersalną. Nadchodzą czasy, kiedy obrona wiary będzie ujęta w program i działalność planową, a nie będzie się przejawiać w dorywczych tylko odruchach, mających na celu odparowanie tych czy innych poszczególnych ataków.

Zachodzi w naszych czasach potrzeba koncentracji wysiłków w obronie wiary. A ponadto w nowoczesnej apologetce musi być celowość. Ci, co chcą dziś bronić skutecznie wiary, muszą zrozumieć „ducha czasu", jego potrzeby, aktualne problemy i wątpliwości i zarzuty tych wszystkich, którzy albo świadomie walczą z Kościołem, albo w dobrej woli szukają prawd wiary.

Do apologetyki nowoczesnej wprzęgnięte zostały nowe techniczne metody, a przede wszystkim apostolstwo przez film i radio. Wymagają te metody dokładnego opracowania, a więc uwzględnienia psychologii słuchaczów i znajomości potrzeb duchowych, związanych z danym terenem.

Do dawnych argumentów, używanych w obronie wiary, przybywają nowe wskutek wspaniałego rozwoju niektórych gałęzi wiedzy nowoczesnej. Żyjemy na przełomie, gdy nawet nauki ścisłe, jak fizyka i chemia, dostarczają w ostatnich swych wynikach potężnych argumentów przeciwko uroszczeniom ateizmu i materializmu.

Dla nowoczesnego apologety otwiera się dziś — biorąc nawet technicznie — olbrzymi zasięg działania. Konferencje, kazania czy wykłady, wypowiadane w obronie wiary przez radio, albo teza religijna, przeprowadzona umiejętnie w obrazie filmowym, sięgą już nie tylko do setek czy tysięcy słuchaczy i widzów, jak dawniej, ale do milionów.

Dlatego każde słowo, każde posunięcie o charakterze apologetycznym musi być dziś ważone na szali roztropności i poparte głębią wiedzy religijnej i naświetlone gorliwością apostolską.

Jezuita Rousselot pisze: **„W kwestiach apologetyki czeka nas praca olbrzymia... Ze strony katolickiej nieraz nie wnika się dostatecznie w zarzuty przeciwników i nie rozumie się ich znaczenia. I sądzę, że ci przysłużyliby się wielce sprawie, którzy by byli dobrze obznajomieni z umysłowością nowoczesną".** A więc zrozumienie „ducha czasu" jest jednym z najważniejszych problemów współczesnej apologetyki. (Por. „La crise de la Foi"). (KAP).